

BRZASK



050
Czas

R. 60.

Dwumiesięcznik uczennic Semi-
narjum Naucz. i Gimnazjum
w Marjówce

Rok VII.

Czerwiec 1934

Nr. 28

KOLEŻANKI, DLA WAS PISZĘ.

Chyba już godzinę siedzę
Nad rymami tak się biedzę;
Dzieło tworzę, jakich mało,
Żeby tak się naco zdało!...

Człowiek mądry, patrząc zgóry,
Powiedziałby: „Takie bzdury!”
Na te słowa jestem głucha,
Niech mądrale mądry słucha.

Koleżanki, dla was piszę,
Więc niech wasze zdanie slysze.
Wasze zdanie, wasza gwara,
A krytykom wszelkim — wara!

Lecz jeżeli ktoś uczony,
Z wami jest zaprzyjaźniony,
Bardzo proszę, niechaj siada,
Niechaj z nami słucha, gada.

Dziś wspomnimy sobie mile
Tego roku przeszłe chwile.
Różnie nam się powodziło,
Raz źle, to znów dobrze było.

Czego więcej? — trudno mówić!
Lecz nietrudno jest zrozumieć,
Że naszego życia wzorki
Haftowały profesorki;

A niektóre roczek cały
Takie wzorki haftowały,
Że bołały nas oczęta...

Niech im Pan Bóg to spałiętał
Przebaczymy im w Imię Boże,
Bo gniew nasz nic nie pomoże;
Zresztą, także takie były,
Co prześliczne wzorki szyły.

Często także się zdarzało,
Gdy nam bardzo źle się działo,
Gdy nasz wzorek zbyt szwankował,
Ksiądz dyrektor reparał.

Tak, tak, rozmaicie było...
Dziś wspominać nam jest miło,
I jedyna myśl dziś smuci,
Że ten roczek już nie wróci.

SPOSTRZEŻENIA NAD MOIM WYCHOWANKIEM.

Z końcem roku szkolnego przerywa się, na krótki czas coprawda, moja pierwsza praca wychowawcza.

Nie znaczy to, bym już była nauczycielką. — O, nie — dużo jeszcze „prób ogniowych” muszę przejść (choćby maturę), zanim osiągnę pełnię praw wychowawczych.

Jako uczennica IV kursu, dostałam na początku roku szkolnego miłe na pierwszy rzut oka chłopię, którem miałam opiekować się i obserwować je w ciągu całego roku.

I od tej chwili rozpoczyna się moja praca wychowawcza.

Spostrzeżenia moje dotyczą tak strony fizycznej, jak i umysłowej.

Boluś, takie bowiem jest imię chłopca, ma lat 7 i uczęszcza do I klasy szkoły powszechnej. Jego inteligentna twarzyczka i płowe, długie włosy wyróżniają go z grona uczniów.

Zawsze czysto i dobrze ubrany, figuruje w pierwszej ławce i często wyciąga rączkę, a czasem i obie, jakby chciał pozbawić nauczycielkę oczu,

Rodzice Bolka są średnio zamożni, lecz b. inteligentni, rozumiejący znaczenie wychowania swych dzieci

Z kilku wywiadów, jakie odbyłam w ciągu roku, poznałam dość dobrze stosunki panujące w domu i wiem, że nie mogą pod żadnym warunkiem wpływać ujemnie na kształcenie się młodej duszyczki wychowanka. Ta współpraca domu ze szkołą odbija się bardzo wyraźnie w rozwoju umysłowym Bolka i w jego zainteresowaniach.

Pierwsze jego dni pobytu w szkole były nacechowane, jak i u wszystkich zresztą dzieci, przychodzących pierwszy raz do szkoły, wielką nieśmiałością w stosunku do innych, lecz zarazem ogromną swobodę, gdy niko go w pobliżu nie było.

Jakieś nieludzkie uganianie się z kolegami, zabawy i fikanie koziołków (trzeba przyznać — bardzo zręczne) wprawiały mnie często w podziw, a jeszcze częściej w rozpacz, bo cóż tu mówić o jakiegokolwiek pracy wychowawczej, gdy na badania fizyczne zabrałam go prawie siłą!

Stopniowo jednak stawał się coraz bardziej opanowany, a dziś często myślę, jakim sposobem stał się tak spokojny, nawet — powiedziałabym — za spokojny.

Jedynie, co obecnie przypomina mi Bolka z początku pracy szkolnej — to wdrapywanie się choćby na najwyższe drzewa.

Dziś zdarza się to rzadziej, gdyż na każdą prośbę natychmiast zsuwa się z drzewa, staje na baczność, szurga zamaszyście nogą (co ma oznaczać powitanie) i rumieniąc się, odchodzi. W ciągu całego roku zauważyłam jednak, że jest to dziedzina jego zainteresowań. Lekcje gimnastyki bardzo lubi.

Oprócz tego interesuje się samolotami. Często podczas przerw obserwowałam go, jak z innymi chłopcami przedstawiał lot aeroplanu.

Schylony, z rękami wyciągniętymi poziomo, zataczał koła, padając od czasu do czasu na trawę, co miało oznaczać katastrofę. Trudno wyobrazić sobie radość, jaką sprawiły mu dwa podarowane przeze mnie samolociki. Gdy byłam u niego, pokazywał mi swoje samodzielne modele samolotów, kolei, domów i t. p. rzeczy, zrobionych z tektury i drzewa.

Zainteresowania jego, odpowiednio pokierowane mogą być dla niego w przyszłości bardzo pożyteczne.

Dziwnem jest jednak, że dziecko tak rozwinięte i interesujące się dziedzinami dla niego jeszcze niedostępnymi, mało jest zainteresowane na lekcji.

Podczas gdy dzieci, oglądając obrazki, omawiają je, on siedzi cicho w ławce i nie interesuje się tem, co się naokoło niego dzieje. Bywa to coprawda nie zawsze, niekiedy jest bardzo ożywiony.

Brak zainteresowania nie można wytłumaczyć niskim poziomem umysłowym, raczej przeciwnie, że jego poziom umysłowy jest wyższy od ogółu klasy i dlatego niektóre rzeczy są dla niego za łatwe.

Że przypuszczenie moje nie jest bez podstawy, przytoczę kilka faktów, jakie uderzyły mnie podczas hospitacji. Na początku nauki, gdy dzieci, rysując z wyobraźni, jak to książeczka szła do nich, przy książce rysowały nogi, Bolek narysował ją bez nóg. Świadczy to, że wyszedł już ze świata bajek, myśli bardziej realnie.

Na lekcjach, chociaż sam mało mówi, lecz wyraża się poprawnie, ma większy zasób słów, nawet krytykuje inne dzieci.

Co jednak mnie najbardziej zdziwiło, to odpowiedź — jaką dał mi na pytanie podczas próbnej lekcji.

Kiedy po przeprowadzeniu lekcji na temat „Józef Piłsudski jako pierwszy i nieustraszony żołnierz” postawiłam pytanie: „Dlaczego Józefa Piłsudskiego nazywamy Marszałkiem?” — jedynie Bolek zupełnie poprawnie odpowiedział: — „Bo Józef Piłsudski wywalczył nam wolną Polskę”.

Tych kilka spostrzeżeń świadczy, że jego poziom umysłowy jest wyższy od większości klasy.

Być może, że jest jeszcze inny czynnik, który wpływa na zmniejszenie zainteresowania lekcją, a mianowicie — podczas roku Bolek dwa razy silnie chorował i jest bardzo anemiczny.

Być może, że subiektywnie ujęłam niektóre fakty, lecz to nie moja wina, przywiązanie do mego wychowanka nie pozwala mi widzieć jego ujemnych stron.

Wiem także, że i Bolek pamięta o mnie, gdyż często skarży się, że

„pani” gniewa się na niego, bo nie rozmawia z nim, poza tem przy każdym spotkaniu ze mną na jego milusiej twarzyczce pojawia się ukryty uśmiech.

G. B

GODZINA NATCHNIENIA.

Słyszac zewszad zachęty do pisania artykułów brzaskowych, powzięłam zamiar ułożenia sonetu lub ballady. Ktoś mi powiedział, że Nelka ma podobną głowę do Mickiewicza, dlatego też poprosiłam ją do pomocy. Pewnego pięknego wieczoru po niedojedzonym gulaszu (bo na głodnego ma się większy dar) wraz z Anielką zaszyłam się w spokojny kąt, wyciągnęłam z pod fartucha księgę z balladami Mickiewicza, aby stamtąd zaczerpnąć trochę pomocniczych rzeczy, i zabrałam się do roboty. Zaczęła się tworzyć ballada. Po chwili już „stanął” czterowerszowy utwór:

„Bardzo dawno, przed latami
Stała góra z dolinami,

A na prawo rzeka była.” — No, Anielka, powiedzże mi rym do „była”. Może biła, śniła. — „el nic się nie klei” „Chyba my, Steniu — mówi Anielka — ułożymy prędzej sonet?” „No, dobrze!” — i już po chwili łamiemy sobie głowę nad sonetem. „Anielko — mówię — ty licz na palcach ilość sylab w zdaniu, ja będę układała i pilnowała, żebyśmy więcej niż 14 wierszy nie skomponowały”. I znowu chwila ciszy... potem słyhać poważny głos Anielki:

„Ach, kiedyż już koniec tym naszym lekcjom,
Kiedyż przestaniem się kuć?

Steniu, prędko, rym na „kuć”, bo mi dalsza myśl ucieknie. Może — zbudź się, zbudź, albo co... Świetnie będzie:

Młody duchu wzbudź się, wzbudź,

Nie patrz, aż ci głowę zmyją.

Uf, zmęczyłam się — szepce Anielka — jak Mickiewiczowi głowa nie uschła od tych utworów, to nie wiem!” Tymczasem ja, patrząc z niedowierzaniem na Anielkę, mówię:

„Wiesz co?... ty chyba nie głowę, ale rozczochrane włosy masz podobne do Mickiewicza. Ja ci radzę, żebyśmy lepiej do „Brzasku” prozę napisały, bo i tak tych naszych sonetów nie wezmą, choćbyśmy się, nie wiem jak, nad nimi napracowały”. Tak to nasze marzenia, aby stać się takimi poetkami jak Mickiewicz spełzły na niczem. Kto wie jednak?... może w przyszłośćil...

„A—St”kurs III.

KRYTYKA KRYTYKI.

I znów zbieranie artykułów do Brzasku! Biorę się do pisania z wielkim zapalem (choć raz). Co spowodowało we mnie taką metamorfozę? Święte oburzenie! Na kogo? Na tych wszystkich, którzy czytają nasze piśmko tylko po to, żeby móc w nim coś skrytykować. Właśnie ta łaskawa krytyka sprawiła, że otrząsnęłam się z wrodzonego lenistwa (wybuch szczerości) i wzięłam pióro do ręki. Muszę bronić twórczyni „Brzasku” (no i siebie, bo tam coś, kiedyś pisałam). Dotychczas, o ile zauważyłam, Brzask cieszył się pełnią uznania.

Jego zadaniem było mówić o naszym życiu i wprowadzać do duszy czytelnika „brzaskowy nastrój”.

Słyszałam od wielu poważnych osób (nawet od samego Pana Wizytatora), że w Brzasku jest dużo humoru i dlatego z przyjemnością się go czyta. Czasami tylko „koledzy po fachu” coś tam kręcili nosami nad poszczególnymi artykułami, ale sami nie umieli powiedzieć, o co im właściwie chodzi. Aż teraz dostały mi się do ręki słowa pewnego krytyka (na szczęście nie znam go osobiście). Oto dosłowna cytata: „Piśmko stanowiłoby wiele większą wartość, gdyby były umieszczone prace o charakterze naukowym. A tu ich brak. To jest główny minus (—) „Brzasku”. Nie będę roztrząsała formy powiedzenia (!) przechodzę od razu do treści. Zgodnie z żądaniem mądrego(?) kolegi wydajemy „naukowy Brzask”. Na pierwszej stronie piśmka widnieje dużymi literami: „Równanie na dwie niewiadome.” I dalej: $X-4y$ i t. d. Zadanie rozwiązane bez błędu, bo przed wydrukowaniem było specjalnie sprawdzane przez profesorkę matematyki. Na drugiej stronie narysowany rzut bryły w perspektywie żabiej i perspektywie ptasiej. Następna kartka, poświęcona fizyce, zawiera artykuł o prądzie elektrycznym (dla uniknięcia nonsensów artykuł przepisano z książki jakiegoś doktora fizyki).

Dział przyrody obejmuje rozprawę (napisaną przy pomocy książki) o życiu roślin. O anatomii człowieka nie możemy nic samodzielnie napisać (bośmy nikogo nie kroili), więc znów trzeba brać do pomocy podręcznik. Polski!.. Cóż my możemy napisać naukowego?.. Rozbiór (gramatyczny) jakiegoś zdania i porównanie rozwoju literatury w różnych wiekach. Mamy to w naszej literaturze, więc trzeba będzie tylko przepisać.. Geografja! Żadna z nas nie zwiedzała Ameryki, ale w książce jest dokładny opis...

Ha! ha! ha! Dopiero nasze piśmko byłoby ciekawe i — naukowe. Tylko że ci, co chcą naprawdę zdobyć wiedzę, nie szukają jej w szkolnych piśminkach!

Może więc i kolega, zarzucający nam brak „prac o charakterze naukowym,” ugasi to chwalebne pragnienie wiedzy we właściwszych źródłach.

Mimo najszczerzych chęci (!) nie możemy pisać prac naukowych, bo powtarzałybyśmy tylko to, czego nas nauczono. Mówiąc szkolnym językiem — „wyglupiliśmy się!” —

Nasz Brzask nie uczy, tylko bawi i jest pisany nie dla tych, którzy pragną wiedzy, lecz dla tych, którzy zmęczeni ślęczeniem nad naukową książką, pragną chwilkę odpocząć i rozerwać się.

Na największy zarzut odpowiedziałam (aż się spociłam). Teraz kolej na mniejsze minusiki Brzasku. Nie będę na wszystko odpowiadała, bo to są „mniejsze” więc...

Tylko jeszcze jeden mnie rozśmieszył (szkoda, że nie oburzył — co?). Cytuję: „Artykuły, dotyczące waszego życia szkolnego, są dobre, lecz tak płytko ujmowane. Głębiej, głębiej, aż do rozumu, ale nie do uczucia. Wam mówić sto razy — kierujcie się rozumem, a wyśsto i 1 pokierujecie się uczuciem...”

Widzi kolega, nie można jednego zdania wszędzie powtarzać, bo w wielu okolicznościach będzie ono śmiesznie wyglądało. Poprostu będzie to „ni przypiął, ni przylatał.” W tej książce, w której je kolega przeczytał, wyglądało bardzo dobrze, ale zamieszczenie go w krytyce naszego pi-semka jest zupełnie nie stosowne.

Ale przypuśćmy, że to jest osobiste przekonanie kolegi. Ciekawa jestem, czy kolega pamięta o tem, gdy spotka go np. jaki „pech” Albo niech kolega sam sobie poszuka przykładu... Tylko proszę pamiętać: „głębiej, głębiej, aż do rozumu, ale nie do uczucia!” Udawaj, kolego, Cyce-rona, a ja już zawczasu się śmieję z Ciebie, bo wiem, że głosisz teorię, tylko teorię...

Lecz wróćmy do Brzasku. Nie umie kolega krytykować, więc lepiej nie brać się do tego, bo można otrzymać publiczną nagane. I muszę zaznaczyć, że Brzask piszą niewiasty, więc mężczyźni nie powinni wyzywać je na pojedynek, bo kobieta zawsze mężczyznę przegada.

Uf, zmęczyłam się! Nie żałuję jednak trudu, bo to chodzi o nasz Brzask. Z prawdziwą ulgą stawiam na zakończenie kropkę.

Kaps III.

O, GDYBY KIEDYŚ...

*O czem tu pisać na marjowskiem błocie,
Mając stargane nerwy, czoła w pocie,
W uszach głos dzwonka, profesorki burę,
I widząc duchem ostatnią cenzurę?*

*Biada nam wszystkim, żeśmy w czas „morowy”
Nie pochylały nad książkami głowy,*

*Ześmy przed pracą uciekały z trwogą,
Ześmy rok cały leniły się błogo,
Aż nas objęli w ciasny krąg łańcucha
I każą oddać co najprędzej ducha.*

*A gdy na żale świat ten nie ma ucha,
Gdy jedna drugą swą miną przeraża,
Gdy słysząc „Sesja!” jako dzwon z cmentarza,
Gdy każdej z trwogi trzęsą się dziś łydki,
Gdy profesorki biorą „na odpytki,”
Gdy uczennice nadziei nie widzą,
Nie dziw, że ludzi, świat sobie obrzydzą;
Że, utraciwszy rozum w mękach długich,
Gadając bzdurstwa, mają żal do drugich.*

*Jedyne szczęście, kto w czarnej godzinie
Nie zdradził trwogi, nie stracił na minie,
I nadsluchując, jak ksiądz na spowiedzi,
Z szeptów poskleja jakoś odpowiedzi;
Z zimną krwią przejdzie przez ogień krzyżowy,
Przed profesorką nie utraci głowy.*

*Lecz czyjeż usta śmiać pochlebiać sobie,
Że dobrze mówią w najstraszniejszej dobie?
Że znajdują dzisiaj to czarowne słowo,
Które rozczuli rozpacz marmurową,
Które z serc wieko podejmie kamienne,
Osuszy oczy tylą łez brzemienne?*

*O, gdyby kiedyś dożyć tej pociechy
(Już na wspomnienie skacze się z uciechy),
By uczennica tak się nie męczyła,
Żeby bez pracy każda mądra była!
By można było nie wieloma słowy,
Ale etągwiarnami lać olej do głowy.*

Kurs III.

DZIEŃ MATKI.

Radosny błysk w oku! Promienny uśmiech na twarzy! A potem skrzyp pióra po papierze... Promienne słowa—Dla Ciebie, Matko moja! —Skrzyp pióra. Gonitwa myśli... Czarowne wspomnienia... Nie nadążać piórem za myślą! Nie przelać wszystkiego na papier!

Promienny list!

Marzenia... Świetlana postać matki. Najdroższa! — Promienny dzień!

— — — — —
 Tęskne, zamglone spojrzenie... Żalosne drganie ust... A potem, w ciemnym kącie stłumiony szloch... Bolesna skarga: — Takam sam! — Daremny wysiłek pamięci... Czarność... Pustka. — Matko moja, przyjdź! — Mętny obraz... Trupio blada twarz... Migotliwe płomyki świec... Znow pustka... Straszne pytanie: — Dlaczego odeszłaś? Cisza... ciemność. Łkanie. — Matko, matko!... — Jasność!... Promienna zjawa! — Najświętsza! Radosne bicie serca. — O tak, chcę być Twojem dziecięciem! Bądź mi matką! — Srebrzysta łza... — Tak źle żyć samej, bez matki... Łaskawy uśmiech Przeczystej... Serdeczne słowa — Pocieszycielko! — Promienny dzień!

Kurs III.

OBÓZ.

Było świetnie! Było miło, dobrze, swobodnie!

„W cichym śnie — spocznij już! Bóg jest tuż!”

Po pracowicie spędzonym dniu idziemy spocząć — no, ale czy w „cichym śnie” — to już niewiadomo! (najwięcej może powiedzieć warta). Komfortowo urządzone namioty — bo posłania aż z chróstu, liści suchych, siano miast poduszek — nęcą nas.

„Powiedźcie warcie — mówię do zastępowych — aby obudziła mnie o 2³⁰”. Słyszała to niechcący jedna z druchen „niewtajemniczonych”, otwiera oczy ze zdziwienia. — „Co, alarm?!” „Też ci się czegoś chce! — jaki alarm?! Warta stoi do 3-ej, a ja później będę do samego rana!”

— — — — —
 „Wstawaj, 2³⁰” słyszę głos Tereni. Jak wstać, to wstać. Opuszczam swoje łóżko i przez Wiśkę, Władzię wydostaję się przed namiot. Śpiesznie zarzucam płaszcz — bo coś jakbym drżała.

Terenia należy do wtajemniczonych. „Będiesz musiała stać do 3³⁰, a później dla pozorów idź pod namiot”. Ja tymczasem śpieszę do kuchni wyekwipować zastępy. Gryzka, herbata, cukier, noże, menażki, kubki, czajnik — chyba wszystko!

3²⁵ — już chyba czas! Słońca co prawda niema, ale miałam budzić 3³⁰. Dobijam się do „komory” szarzy! Śpią! Druchna drużynowa jedno oko otworzyła: „Co, już? Jest słońce?” „Narazie niema” — odpowiadam. „Więc może... właśnie... za jakieś 15 minut.

Słońce nie wstało, i my jeszcze śpijmy.

„Rób alarm, jak pokaże się słońce”. Tereni już niema na warcie, ale mimo to jest ktoś — jest coś! O kilka kroków od namiotu stoi sarna swemi szklistemi oczami rozgląda się bacznie, ale nie ucieka! Stoję i ja.

Nie wiem już jak, ale stwierdzić musiała, że nic jej od harcerek nie grozi, bo odważnie zbliża się do namiotu, okrąża go, zagląda przez otwór i troszkę trwożniej zbliża się do ogniska. Nie boi się mojej wyciągniętej ręki i bez obawy dotyka jej swoim mokrym pyszczkiem. Namiot drgnął, rozsunał się, a sarna, oglądając się raz po raz, ucieka. To Terenia, nie mogąc doczekać się alarmu, pyta, co się stało? „Słońca jeszcze niemal Idź, jeszcze zejdzie kilka minut!”

Tymczasem niebo różowieje coraz bardziej. I tak upływa jeszcze kilka minut. Niebo bladeje, a poprzez drzewa ukazuje się mocno zaczerwieniona tarcza słoneczna. Jest 4-ta. Pędzę do „komnaty”! Druchna drużynowa prawie już gotowa!

„Rób alarm”!

I znów jestem przy namiotach. „Alarm! w 3 minuty w pełnym umundurowaniu na linii zbiórki!” „Apaszką! mundur! płaszcz! pas!” słychać z namiotów. Za chwilę wychylają się rozczochrane głowy, a następnie „niewykończona” figura. Dzwonienie zębami, ale to nic. Zmiana temperatury!

Raport! i powitanie naszego „Dnia Słonecznego”. Słońce lekko zaróżowione, okrągłe, uśmiechnięte wzbija się wysoko ponad lasem, a my... — „Idzie dzień!... Słońce już!”... śpiewamy.

Druchna.

JESTEM SZCZĘŚLIWA.

...I przyszedłam na zbiórke drużyny wiejskiej. Wiedziałam, że mam zostać zastępową tych niesfornych dziewcząt, a porzucić swoich chłopców. Buntowałam się przeciw temu, gorzkie łzy miałam pod powiekami i w tej chwili czułam się słaba jak dziecko. Wtem zabrzmiała komenda: „Drużyna! Rozkaz I. 4. Na zastępową zastępu „Słowików” mianuję dch. Anielkę.... Spocznij...” „Spojrzałam nieśmiało na mój zastęp.. i o dziwo! Wszystkie płowe, czarne, lniane główki obrócone były w moją stronę, a opalone twarzyczki i jasne jak błękit, piwne i szare oczy moich dziewczynek, jak na komendę uśmiechnęły się do mnie ufnie, przyjaźnie i tak wesoło... I w tej chwili pokochałam je za ten uśmiech... Teraz, gdy sobie pomyślę, że ja się ich bałam, śmieję się sama z siebie, a Maryśka zawsze mówi: — Wiesz, ja ci odrazu mówiłam, że one cię pokochają, a ty je”...

— Po każdej zbiórce jestem z mojej czternastki coraz więcej zadowolona. Ostatniego tygodnia obrałyśmy sobie hasło: „Kto silniejszy — ja, czy mój towarzysz leniuch?”

— — — — —
Zapisy na obóz dwudniowy chłopców i dziewcząt. Po lekcjach gromadzą się naokoło nas dzieci. Zapisujemy. Przychodzi p. kierowniczka i mówi: „Proszę pań, ja kilkoro dzieci nie puszcę na obóz, gdyż nie odrabiają lekcji.” Zbladłam... spojrzałam na swoje dziewczęta: „Czyż która

z dziewczynek?" — szepnęłam. Wtem całe grono dziewcząt otacza mnie i śmiejąc się wykrzykuje: „Druchno, to nie my... to tylko chłopcy, my wszystkie...” „Tak, jesteście silniejsze od leniucha” — odrzekłam, śmiejąc się...

A słońce, przedarłszy się przez konary drzew, całowało rozpromienione buziaki.

Anielka Klabacka k. III

PIEŚŃ MODLITWĄ.

Pogodny niedzielny ranek.

W obszernym kościółku sporo osób; co chwila znowu ktoś wchodzi i kościółek zapelnia się powoli. Ustawiła się już szkoła powszechna. Ucichło jakoś.

Wtem ciszę przerwał dzwonek: ksiądz wychodzi ze mszą św.

Wszyscy naokół modlą się; słysząc szept pacierzy lub cichy szelest kartek.

Modlą się, a ja nie mogę — zwykły pacierz dziwnie prędko się skończył, nie wiem dlaczego.

Modlitwę niby czytam, dziwnie jednak nie mogę się skupić, nie chce mi się wprost modlić. Przecież jeszcze nigdy takiego uczucia nie miałam. Przyszłam do kościoła, nie wiem poci... Popłynęła pieśń: „Z tej biednej ziemi”. — Cicho korzę się już przed obrazem Chrystusa. Łagodne, dobre, niebieskie źrenice mówią mi słowa wielkiej pociechy, ukojenia. Płyną strugi bezgranicznej miłości, i ból czuję w tej chwili, nie jestem godna patrzeć na skrwawione ręce i stopy Chrystusowe... na tę świetlistą postać w obrazie, tak cierpiącą, przebaczącą i miłującą. „Święty Boże, święty mocny” — już nie usta, ale dusza z jakimś jękiem, pełnym ukorzenia, płynie ku ołtarzowi, pierś wznosi się uczuciem uwielbienia, skruchy i bojaźliwej miłości do Tego, który jest Nieskończonem Dobrem dla świata i ludzkości.

Przebacz, cichy, miłujący Chryste, żem tak słaba i niegodna Twej miłości, świętyś i wielki nieskończenie.

„My, grzeszni, Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie.” I ja proszę o wysłuchanie, ja, co nie umiem Cię cichą modlitwą wynosić i uczcić — lecz wysłuchaj mnie, Jezu, w tej pieśni.

I teraz słowa bez poruszania ustami płyną do Chrystusa. Zdaje mi się, że tylko ja jedna rozmawiam słowami nieskończonej pieśni z Chrystusem. Chcę z tych miłujących oczu Jezusa wyczytać przebaczenie i otuchę na szare dni życia — od Ciebie, nieskończenie miłujący Chryste...

Jadwiga Nowakówna

TYM, CO IDĄ W ŻYCIE.

Idziecie już. Zostawiacie szkołę i nas. Opuszczacie ten cichy, ukochany zakątek, w którym spędziłyście kilka młodych lat. Za Wami zostają dni smutne i wesołe, dni marzeń tęczyowych, dni wzlotów, porywów młodzieńczych. Żegnacie wszystkich i wszystko. Trudno. Żegnać trzeba choć ciężko, ciężko...

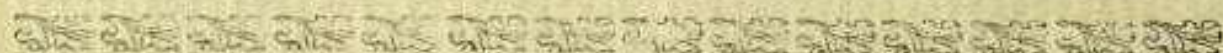
Kochane, w chwili rozstania cóż Wam powiemy?...

Idziecie w świat, w nowe, nieznane życie. Przed Wami zagadkowa przyszłość. I cóż Wam rzec na tę nową drogę życia?... Nie pomnijcie przykrości, jakie Wam wyrządzałyśmy. Wiedźcie, iż z serca życzymy Wam, aby życie wasze było piękne i dobre.

Życzymy Wam, by młodość nie opuszczała Was nigdy. Idźcie z umiłowaniem Prawdy, z ukochaniem bliźnich i pracą dla nich, młode duchem, z uśmiechem na ustach. Niech Was nie zraża żaden trud, ból i znój. Poprzez nie dążcie do Miłości i świętej Prawdy. Niech Wam zawsze przyświeca najwyższy cel: „Bóg i Ojczyzna”. A gdy Was ogarnie chwila zwątpienia, przylećcie myślą do drogiej szkoły. Tu znajdziecie pociechę i otuchę. Tu są serca kochające, które Was zawsze mile przyjmą i przytulą słodko, dodadzą nowych sił do spełnienia swego zadania. Szkoła była i będzie Wam przystanią wśród życia burz, jej wspomnienie wleje do duszy pogodę. Idźcie z ufnością w jasne Jutro!...

„Hej, z wiarą, nadzieją, miłością. Idźcie przez cierniste szlaki dróg, niech dusze Wasze kwitną młodością, i niech Was zawsze prowadzi—Bóg!”

Czwarty kurs.



DZIAŁ BYŁYCH WYCHOWANEK.

NA PROGU ŻYCIA.

Cicho, spokojnie. Nareszcie ucichł straszliwy, nieznosny zgrzyt kół pędzącego pociągu i mogę spokojnie zdrzemnąć się chwilę... tak, zdrzemnę się, dobrze mi teraz... zdawa jakieś śpiwoty, zdaje się, że to dziecinny głos! — Ach, oczywiście, że to tylko jeszcze sen, bo ja sama przecież już jestem na miejscu!

Poza oknami jasny, cudny Boży dzień. Przecieram oczy i unoszę nieco ciężką (od snu oczywiście tylko!) głowę. Od strony drzwi ozwały się dźwięki: — „Bajką dla mnie jesteś ty!” —? A tak, to pewnie ów mój uczeń najmilszy, to on mnie wita taką serenadą. Niema rady, trzeba mu się pokazać. Wcześniej czy później bajka musi się stać rzeczywistością!

Po chwili pukanie do drzwi:—„Czy pani już wstała?”—„Ależ, tak, proszę, proszę bardzo, trochę zasnęłam po tak dalekiej i męczącej podróży.” (jutro nie będzie się już czem wymówić i trzeba będzie chyba wstać wcześniej!)

„Oddaję go w ręce pani, to pani uczeń, a to twoja przełożona, Karolku, od dnia dzisiejszego!”

Przedemną stoi wysoki, tęgi, barczysty blondynek z lokami i niebieskimi oczyma, wcale pokaźnie wyglądający, jak na swoje 11 lat.

Kilka pierwszych dni. Zabawy, opowiadania, miłe rozmowy, zapewnienia o dobrych, wprost nadzwyczajnych postępach w nauce, bo jestem „ładna” (nareszcie znalazł się ktoś z prawdziwym poczuciem piękna!—i to już w tak młodym wieku!), pewnie dobra i t. d. (poprzedniczka moja nie umiała sobie zjednać jego sympatii). Słowem — wszystko rokuje jak najlepsze nadzieje na przyszłość! Zaczynam nabierać otuchy, zacieram ręce, otwieram szufladki swej wiedzy jedną po drugiej, zaczynam sumienie przetrząsać ich zawartości, co mi zresztą nie zabrało znów tak dużo czasu (sprawność i zwinność robi swoje!), otwieram nieśmiało zeszyt z hospitacjami...— Tak, nieśmiało, bo ten ładaczko skoro tylko znalazł się w mojej ręku, poczuł się panem sytuacji, wlot odgadł moje zamiary i aż się zatrząsł od śmiechu. W pierwszej chwili ogarnęła mnie furja gniewu, ale rzuciwszy okiem do wnętrza szufladek, przeznaczonych na wiedzę pedagogiczną — w jednej chwili zrozumiałam, że muszę być z grubym zeszytem o fioletowych brzegach w zgodzie. Ot, do czego przyszło, wybiła godzina odwetu i ty, niegdyś zaniedbany, lekceważony, stałeś się teraz cenionym! Tak, nie ten się śmieje, kto się pierwszy śmieje, ale kto ostatni, masz słuszość. Dotknięta porażką, z rozsądkiem jednak ułożyłam zeszyt na stole — skarbów nie rzuca się w piec, ani nie zakopuje w ziemi! — I rozpoczęły się dni pracy.

Francuski. Karolek zaczyna czytać, poprawiam go za każdym razem. Mały, niedostrzegalny ruch ręki i mądrość francuska, zawarta w książce, znika mi z przed oczu. Udałam, iż nie rozumiałam intencji owego posunięcia. Tym razem czytanie znacznie szybsze.

Nie tracę przytomności umysłu, przywołuję gwałtem do pamięci wspomnienia naszych lekcji: — Oto Binia ze swoją nieocenioną francuszczyzną, Mańcia ze swoim nieodstępem „bonjour” (miało być c' est tout!) uśmiecham się przelotnie, ale tu nie mogę się zatrzymać, myślą szukam samego mistrza...— Comment? przeczytaj jeszcze raz ten wyraz!”

Uczeń spojrzał na mnie z niedowierzaniem nietajonem, na temat: „A ty skąd to wiesz, kiedy ja mam książkę zakrytą?”

Zrozumiał, moja wiedza przenika wszelkie zasłony! I odtąd już nie zasłania ręką książki francuskiej.

O, dzieciaku, gdybyś ty wiedział, jak rozstłoneczniła się wtedy we mnie dusza od złocistego uśmiechu!

Swoją drogą nazajutrz wzięłam francuską powieść (!?) do ręki, do drugiej słownik i zaczęłam „trochę czytać w języku francuskim” A jakie to było czytanie, to tylko moja szara brać wiedzieć o tem może!

Religia. Opowiadanie o cudownem uzdrowieniu chorego, który już 38 lat leżał nad cudowną sadzawką i nie miał go kto spuścić do wody, aby był uzdrowiony. „A czegoż on leżał nad tą sadzawką, mógł przecież położyć się prosto w wodzie przy brzegu, albo urządzić sobie posłanie nad wodą, tak, żeby tylko nogę spuścił, gdy anioł poruszył wodę i już byłby uleczony!”

Temu podobnych zagadnień było już mnóstwo. Początkowo starałam się na każde dać wyjaśnienie, mniej lub więcej wyczerpujące, zależnie od zasobu własnych wiadomości w tej materji, ale pomału zaczęłam się przekonywać, iż jest to jego manja prosto, zadaje pytania nie dlatego, że czegoś nie wie, lub nie rozumie, ale że jemu właśnie sprawia satysfakcję, gdy ja staram się wyłożyć mu rzecz, która zupełnie żadnego wyjaśnienia nie potrzebuje, kontent jest, gdy wymyśli jakąś kombinację zupełnie niemożliwą pod słońcem i ja się na to, aby mu owej niemożliwości dowieść. Zniecierpliwiona więc wkońcu, spokojnie, ale znacząco odpowiadam: „Widzisz, dawniej prawdopodobnie nie było tak mądrych ludzi jak dzisiaj, żeby mu mogli coś podobnego doradzić, a on sam też widocznie skąpo wyposażony był w rozum.” Takim sposobem nauczyłam go wreszcie zadawać pytania tylko racjonalne i właściwe, nie tłumiąc zupełnie popędu ciekawości, ale wprowadzając go raczej na właściwe tory. Pomimo wysiłków nie zdołałam jednak wypłenić u niego książkowstrętu, który mi utrudnia pracę, ani też przewyciężyć dość często wpływającej fali lenistwa i nieuwagi.

Tak, jest on zachwycający, ale tylko wtedy, gdy jesteśmy na gruncie zupełnie neutralnym, t. zn. gdy niema w pobliżu nic, co mogłoby się nazywać książką, piórem i zeszytem. Zdarzają się chwile, że trzeba naprawdę być albo samym Amosem Komeńskim, albo szanowną mamusią Karolkową, z „wybitną” metodą postępowania, aby mu coś włożyć do głowy, czegoś nauczyć go naprawdę.

Często gęsto wnoszę więc błagalne westchnienia do kącika niebios, zajętego przez błogosławionych pedagogów, aby mnie, prawdziwemu Łazarzowi, spuścili choć kropelkę wiedzy i wyczucia pedagogicznego, chociażby z koniuszeczka małego palca, aby raczyli łaskawie czuwać nad prawidłowem i równomiernem skręcaniem się moich nerwów, a nie takim, które odrazu wiąże węzły. Swoją drogą — rzecz zgoła nieoczekiwana przeze mnie: im więcej wkładam pracy w wychowywanie i nauczanie tego baka, tem bliższym mi się staje, i tem więcej go lubię. Dziwna to miłość, bo widocznie egoistyczna, gdyż nietylko kocham swojego ucznia, ile swoją pracę w nim, ale to grunt, że praca — dzięki temu jest niezmiernie ułatwiona.

Hanka Grz.





Z NASZEJ WYCIECZKI.

Ogólny widok Krakowa.

Dużo, bardzo dużo jest starych i pamiątkowych miejsc i placów w Krakowie, jak np.: plac Matejki, Barbakan, Brama Florjańska, kościół Marjacki, Sukiennice i wiele, wiele innych. Na placu Matejki znajduje się bardziej ładny pomnik Jagiełły, wystawiony na pamiątkę 500-lecia zwycięstwa pod Grunwaldem. Idąc od placu Matejki na rynek, przechodzi się koło Barbakanu i Bramy Florjańskiej. Barbakan, pospolicie nazywany „Rondlem krakowskim”, był wybudowany przed murami dawnego Krakowa. Rzeczywiście, jest on bardzo podobny do rondla, gdyż jest zupełnie okrągły. Dawniej był połączony korytarzem z Bramą Florjańską i podczas oblężenia broniono się stamtąd. Za Barbakanem jest Brama Florjańska z częścią dawnych murów. Na miejscu dawnych murów jest śliczny ogród zwany plantami. Po przejściu bramy Florjańskiej wchodzi się zaraz na planty, a stamtąd na rynek, na którym jest ratusz, kościół Marjacki i Sukiennice. Z dawnego ratusza pozostała tylko wieża zegarowa i część budynku. Kościół Marjacki jest wybudowany w stylu gotyckim. Z wieży Marjackiej wygrywają na trąbce co godzinę hejnał, który jest przez wszystkich tak bardzo lubiany. Na środku rynku są Sukiennice. Powstały one z dawnych kramów, w których sprzedawano sukno, stąd też pochodzi nazwa „Sukiennice”. W 1879 r. odrestaurowano je w stylu renesansowym. Za wieżą ratuszową, od strony ul. Szewskiej, jest wmurowany w bruk kamień pamiątkowy. Na tem miejscu Kościuszkowski przysięgał wierność narodowi w 1794 r.

Irenka K. kl. I.

SKAŁKA.

Zwiedzając Kraków, byliśmy na Skałce. Jest tam kościół Michała Archaniola. Jak wiemy, w kościele na Skałce został zamordowany św. Stanisław biskup, przez Bolesława Śmiałego, podczas odprawiania mszy świętej. Lecz biskup, pomimo ciężkiego cięcia w głowę, nie umarł od razu. Wyniesiono go z kościoła na dwór i tam na drzewie porąbano w kawałki, a następnie wrzucono do pobliskiej sadzawki. Do dziś dnia w bocznym ołtarzu, tam gdzie św. Stanisław został zamordowany, znajduje się to drzewo, jako święta relikwia. Na ścianie obok ołtarza, za szkłem, znajduje się kilka kropli krwi. W podziemiach tego kościoła spoczywają ciała zasłużonych Polaków: Jacka Malczewskiego, Siemi-

radzkiego, Wyspiańskiego. Pochowani są tu także Kraszewski, Wincenty Pol i Jan Długosz, historyk polski i wychowawca synów Władysława Jagiellończyka.

K. Musielewicz kl. I.

KOPALNIA SOLI W WIELICZCE.

Po zwiedzeniu Krakowa jedziemy do Wieliczki.

Na samym wstępie była fotografia, potem podróż windą do kopalni. Gdy wyszliśmy z windy, ujrzałyśmy ołtarz, który przedstawiał ukrzyżowanego Pana Jezusa.

Pod kierownictwem górnika najpierw weszliśmy w długi korytarz, prowadzący do sali balowej. Na jednej ze ścian wisi wielki obraz św. Kingi z pierścieniem w ręku. Z sali tej znów weszliśmy w długi korytarz, a z niego na schody, wiodące do kaplicy św. Kingi. Po dwóch stronach są figury: św. Barbary i św. Kingi, zrobione z soli. W głównym ołtarzu umieszczona jest Matka Boska. Na środku sklepienia wiszą 3 cudne żyrandole z soli. Cała kaplica, oświetlona kolorowymi lampkami, wygląda prześlicznie.

Dalej zwiedzałyśmy salę Piłsudskiego, w której znajduje się piękne jezioro. Woda do niego napuszczona jest już bardzo dawno i nie taka jak w rzekach, ponieważ słodka woda rozpuszcza sól, ta natomiast już nie szkodzi soli. Następnie widziałyśmy grootę Hallera, po niej drugą — prezydenta Mościckiego. Znów długi korytarz i drugie cudne jezioro, nad którym świecą lampki, odbijają się one w wodzie, co wygląda cudnie. Górnik opowiadał, że 5-ciu jakichś nieprzyjaciół, chcąc przejechać przez to właśnie jezioro, utonęło. Później poszłyśmy do drugiej, dużo większej sali balowej w której wszystkie odpoczęłyśmy, a następnie ruszyłyśmy z powrotem do windy i na powierzchnię ziemi.

Baśka kl. I.

JEDZIEMY DO OJCOWA.

„Jak dobrze nam zdobywać góry i pełną piersią wchłaniać wiatr, prężnymi stopami deptać chmury!”...

Z taką pieśnią na ustach maszeruje nasza wycieczka. Choć słońce praży mocno i gorąco nieznośne, wszystkie mamy humory wysmienite. Zachwycamy się głośno pięknym krajobrazem, rzeczywiście godnym podziwu.

Wysokie skały o stromych krawędziach wznoszą się po obu stronach drogi. „To skały Panieńskie, a to Kawalerskie” — objaśnia nam przewodnik i podaje przyczynę tej nazwy. Idziemy wciąż pod górę, aż sił brak... Ale to frazka, musimy przecież dojść do Groty Łokietka!!!

Nareszcie!... Odpoczywamy chwilę w miłym chłodzie, wkładamy płaszcze i wchodzimy w uroczystym milczeniu (co tak rzadko u nas się zdarza) do Groty. Każda trzyma w ręku zapaloną świeczkę, więc zdaleka musimy wyglądać jak korowód tajemniczych duchów. Ale my tego nie widzimy... Jesteśmy zajęte wewnętrznym wyglądem Groty.

Oglądamy jadalnię, sypialnię, kredens Łokietka i wiele innych ciekawych rzeczy. Dziwi nas, jak on mógł tu tak długo wytrzymać, kiedy my już drżymy z zimna. Groty, oświetlone, magnezją wyglądają wspaniale!

Z góry zwieszają się stalaktyty, a z dołu, podobne do wielkich sęków, wyrastają stalagmity. Z nacieków potworzyły się tu i ówdzie dziwaczne postacie ludzkie, tam znów podobne do zwierząt... ślicznie, ślicznie!!! Każdej z nas wyrwa się to słowo na usta. Lecz z zachwytu budzi nas głos którejś z koleżanek: — Ojoj, ratujcie, jak tu ślisko! I rzeczywiście, ledwie się można na nogach utrzymać. Zachwycamy się jeszcze długo... długo... i podziwiamy wspaniałe groty, ale już czas wracać. Więc z żalem opuszczamy miejsce naszych zachwytów i wracamy „na światło dzienne”, które nas razi.

Pędzimy teraz szybko... szybko nadół!!! Nie możemy się nawet zatrzymać... Wiatr świszcząc nam w uszach... rozwiewa włosy, a my pędzimy! Aż tu zatrzymuje nas fotograf. No, i sadowimy się na skale, robimy przyjemny wyraz twarzy i zdjęcie zrobione.

Idziemy jeszcze do Groty Ojcowskiej, ale leży ona na takiej wysokiej górze, że zanim tam doszliśmy, zmęczyliśmy się porządnie. Lecz i tam ślicznie! Podobnie jak w Grocie Łokietka. Warta była naszych trudów!

Przed wyjazdem kupowałyśmy dużo pamiątek dla koleżanek, znajomych i dla siebie.

Żal nam było opuszczać Ojców, to też ze łzami w oczach wsiadałyśmy do autobusu, który nas wiozł przez kręte i spadziste drogi do dawnej stolicy Polski — Krakowa. Jadąc, widziałyśmy kontury Karpat i Baraniej Góry, skąd bierze początek Wisła. Długo jeszcze potem wspominaliśmy te miłe chwile, jakie przeżyliśmy w Ojcowie.

Wisła kl. IV.



ECHO IMIENIN KSIĘDZA DYREKTORA.

Nie przebrzmiały jeszcze radosne okrzyki „Alleluja”, a już wszyscy nastawieni są na powtórne duże święto. Wszyscy z radością i drżeniem oczekują dnia, w którym można będzie dać folgę wdzięcznością wezbranemu sercu. W tym gorączkowym czasie na każdej twarzy widnieje promyczek radości i zadowolenia. O, bo dla nas zawita wielki dzień — imieniny naszego kochanego ks. Dyrektora. Obmyślamy więc, co

zrobić, aby dzień ten był jak najuroczyściej obchodzony. Już mamy gotowy projekt. Na ten dzień mają być porobione fryzy nad drzwiami, szlak do sali rekreacyjnej i ma być urządzona „rewja” p. t.: „Od Imienin do Imienin”. W ciągu kilku ostatnich dni wre gorliwa praca pod czujnym okiem pań nauczycielek. Wreszcie już wszystko przygotowane, bo 12-IV rano postanowiłyśmy sobie wszystkie pójść do komunji, ofiarując ją w intencji ks. Dyrektora. Już od samego rana zaznacza się, że to musi być jakieś duże święto, bo na śniadanie dostajemy wyborne kakao i olbrzymie bułki. Po 3-ech lekcjach jest powinszowanie. Podczas niego czujemy się naprawdę jak dzieci, które stają przed swym kochanym Ojcem, aby Mu złożyć serdeczne życzenia. Myślą cofamy się w ubiegłe miesiące i znajdujemy tam bezmiar pracy i poświęcenia dla nas. To też z dzieciną prawie nieśmiałością zbliżamy się do ks. Dyrektora, aby złożyć swe gorące życzenia. Jesteśmy zarazem przekonane, że choćbyśmy nie wiem jak chciały górnolotnie to ująć, co serce czuje, nigdy tego nie zdołamy wykonać. Po powinszowaniu zapraszamy ks. Dyrektora na mającą odbyć się po kolacji rewję. Dla gimnazistek dzień ten ma swój szczególniejszy urok, ponieważ ks. Dyrektor darował 2 godziny karnych lekcji, które miały się odbyć za urządzenie „wagarów.” Rewja była wspaniała. W największy podziw byli goście wprowadzeni, gdy ujrzeli basen, a w nim wesoło pływające gimnazistki. Zachwalały one, że już w kwietniu ziemia nie szczędzi swego ciepła, które idzie z jej jądra i ociepla wodę, a słońce także ją ogrzewa, rzucając swe złociste promienie w głąb basenu. Była również ilustracja wiersza bardzo komiczna. Przedstawiano też, jak u nas w szkole zachowują się dziewczynki podczas ciszy. Przeważnie jednak były najrozmaitsze tańce, które dziewczynki ładnie wykonały. Finał stanowił piękny taniec i piosenka „Żegnajcie”. Po przedstawieniu jedna z byłych uczenic złożyła gorące życzenia w imieniu wszystkich swoich koleżanek. Dzień ten minął nam jak złota strzała. Nawet nie spostrzegłyśmy, że to już wieczór, że jutro nastanie dla nas znów szare jak zawsze. Ale zaraz uprzytomniłyśmy sobie, że zostaną nam wspomnienia z minionych imienin, one zdolne będą rozedrzeć wszelki smutek, wkradający się do serc naszych, one rozradują nas i wszystkich koło nas. Tego dnia zasypiałyśmy wszystkie z „lizakami” w rękę, które otrzymałyśmy od ks. Dyrektora na osłodzenie nam szarych dni.

Klasa IV.



JEDZIEMY DO BORKOWIC.

Zawitały pierwsze dni majowe, a choć są one jeszcze dość chłodne, jednak natura ludzka rwie się tam, gdzie może odetchnąć swobodniej. To też nic dziwnego, że i nas owionął taki duch, boć może nam więcej należy pomyśleć o swobodzie, kiedy przez tak długi czas siedzimy w mu-

rach szkolnych. Ale otóż już zdecydowane, że dnia 8-V, o ile będzie pogoda, dwiema furmankami drabiniastemi pojedziemy do Borkowic. To też radości, wesołych wykrzykników jest coniemiarą. W niedzielę od samego rana dziewczynki myślą, jak to się ubrać. Ponieważ jest trochę chłodno, więc jedziemy w płaszczach. O godz. 2 pp. zajeżdżają 2 furmanki przed szkołę. Nie pozwalamy długo na siebie czekać, bo w jednej chwili furmanki się zapełniają. Jadą też z nami pp. nauczycielki. W drodze dziewczynki krzyczą na furmanów, aby jeden wyprzedzał drugiego, z czego na jednej furze jest ogólne zadowolenie, a na drugiej odwrotnie. Śpiewamy prawie całą drogę, ale są też tak pilne dziewczynki, że powtarzają sobie lekcje na poniedziałek. Wtem jedna dziewczynka prosi o głos: „Wiecie co, dziewczynki, na jutro musimy na każdą lekcję coś z naszej wycieczki przygotować.” Przerywa jej monotonne powtarzanie zaimków łacińskich: — „Idem, eadem, idem.” — Jakby w odpowiedzi słyszy inny głos: — „Idzie żydówka z żydem” — „O, dobrze, dobrze, więc na łacinę już mamy przygotowane, teraz polski” — krzyczą dziewczynki. Jedziemy dalej. W drodze niby wąwozy, niby jary, a w pośród nich są jakby pozostałości młyna wodnego, pod którym płynie teraz wąski strumyczek. „O, tutaj to zupełnie mieszkanie Horpyny, a to jest koło, z którego ona wróżyła, tam dalej w tej chatce jest ukryta Helena, widzicie?” Ale wiecie co, dziewczynki — odzywa się znów inna — obmyślmy na geografję np., skąd wzięły nazwę te wioski, przez które teraz przejeżdżamy” — „E, ja myślę, że i tak później je zapomnimy, więc lepiej zastanówmy się nad Smogorzowem”. „No, Smogorzów to ja powiem, jak powstał — otóż to tak było: Przed laty był tu straszny smok, który co pewien czas wyprawiał się na harce do pobliskich wiosek i tam porywał bydło, dzieci. Mieszkańcy postanowili go w jakikolwiek sposób zgładzić ze świata. Wybrało się więc kilku śmiałków. Przypilnowali, kiedy wychodził ze swej jamy i podstępnie rzucili się nań. Zadali mu kilka ciośców. Smok padł. Jeden z odważniejszych chciał mu uciąć łeb, to też siadł na niego, bo innego sposobu nie było, i ciął go straszliwie w szyję. Ale w tej samej chwili smok się porwał i jak szalony ze swym wrogiem na grzbiecie popędzał do pobliskiej wioski. Ludzie powybiegali z domów, krzycząc: „Smok ożył, smok ożył, ratujcie się!” Lecz i jeździec, siedzący na smoku, już oprzytomniał i ciął go drugi raz. Smok padł i po niedługim czasie skonał, a wioskę przezwano Smokożył, zczasem przekształciło się to na Smogorzów.” „A to świetne” — wołają dziewczynki. Tak się zasluchałyśmy, żeśmy nie zauważyły, iż jesteśmy u celu naszej podróży. W Borkowicach zwiedziłyśmy kościół, następnie idziemy do ks. kanonika, aby zwiedzić różne starożytne rzeczy. Weszłyśmy do pierwszej sali, i o dziwo, znalazłyśmy się w mieszkaniu, w którym prawie wszystko jest z XIV wieku. Ks. kanonik wszystko nam objaśnia i zachęca, abyśmy również zbierały tak pamiątkowe rzeczy jak np. talerze porcelanowe malowane i t. p. Każda z nas solennie przyrzeka zastosować się do tego. Oglądamy również pisma naszych poetów i królów. Znajdujemy dla siebie też pewną pociechę, bo nawet Orzeszkowa robiła kleksy, więc i my możemy zaliczać się do wielkich ludzi, z czego jesteśmy bardzo dumne.

Znajdujemy tu nawet żyto. Jedna z dziewczynek objaśnia nas: — „To bardziej żółte jest z XIII w., a to jaśniejsze z XIV.” Więc my zaraz bierzemy potrochu w kieszenie, na zapoczątkowanie naszych muzeów.

Panie są w kłopotcie, abyśmy wszystkiego żyta nie zabrały ze sobą. Nareszcie skończyło się nasze zwiedzanie. Idziemy teraz do parku, każda w rękę trzyma swoją porcję chleba i je z wielkim zapalem. Doprawdy, komicznie wygląda ten pochód przez Borkowice. Park jest bardzo ładny, ale coś kiedy trzeba go wnet opuścić. Siadamy więc na furmanki i gotujemy się do odwrotu. Odjeżdżamy ze śpiewem „Zegnajcie, zegnajcie,” z wielkim żalem zostawiając Borkowice. Już szarzyć zaczyna, ale niebo jeszcze jest błękitne i jasne. Chcemy koniecznie spostrzec, jak następuje po zmierzchu wieczór, ale nam się to nie udaje: słyszymy muzykę, dochodzącą z otwartych okien jednego domu, zatrzymujemy więc konie i chwilę słuchamy. Przez całą dalszą drogę wesoło rozmawiamy, tak że nawet nie zauważyliśmy, jak furmanki skręciły i wjechały w „Aleję Mleczną,” prowadzącą do naszej szkoły. Witamy ją śpiewem „Marjówka, ach, ta Marjówka”. Wypoczęte na duchu śpieszymy czem prędzej na kolację, bo dzisiaj doprawdy nie brak nam apetytu, no i spać się bardzo chce.

Jaśka, kl. IV.



== KRONIKA ==

KRONIKA OGÓLNA. 12/IV. Z racji Imienin Kochanego Naszego Księdza Dyrektora, staraniem uczenic Seminarjum i Gimnazjum urządzona była rewja: „Od Imienin do Imienin”.

3/V. 3 Maj obchodziliśmy bardzo uroczyście. Po nabożeństwie odbyła się akademja, na którą złożyły się: obrazek sceniczny „Gaik”, deklamacje i orkiestra.

17/V. Od 10—17 maja, w czasie trwania Tygodnia L. O. P. P. odbył się pochód z maskami przez wieś, pokaz gazowy, uroczysta akad. i zwiedzanie schronu, urządzonego w naszym gmachu.

27/V. Święto Matki. Staraniem uczenic seminarjum, gimnazjum i dzieci szkoły powszechnej urządzona była akademja. Po nieszpórach, uroczystości odprawionych w kaplicy, udaliśmy się do remizy strażackiej, gdzie spędziliśmy kilka chwil bardzo miło i serdecznie. Uczennice grały pieśni do M. Boskiej, deklamowały i śpiewały. Dzieci również mówiły bardzo miłe wierszyki.

6/VI. Pierwszy dzień matury. Ksiądz Dyrektor delegatem.

11/VI. W całej szkole ruch, jakich mało. Sesje „na całą parę”. Męczą się panie, ale i my nie mniej. Kończy się rok szkolny, to też trzeba się śpieszyć z ukończeniem materiału, a w związku z tem bardziej intensywna praca wre w całej szkole.

15/VI. Zakończenie roku szkolnego i wyjazd do domu.

KURS IV. 29/IV. Kurs nasz wydostał się na szerszą widownię. Trupa artystyczna wyjechała do Przysuchy i odegrała komedję Fredry p. t.: „Pan Jowialski”. Wszyscy widzowie byli zachwyceni. Dochód przeznaczony na budowę szkoły w Przysusze.

21/V. Na kursie panuje ruch i zdenerwowanie. O, bo to nie żarty. Za dwa dni piszemy klasówkę „à la maturalną” z pedagogicznych, a później z polskiego. Niektóre dziewczynki wstają o godz. 4, byle coś powtórzyć. Przecież to pisze się na arkuszach papieru kancelaryjnego i przez 4 godziny.

29/V. Klasówki minęły, tematy z pedagogicznych były nietrudne! Z polskiego tematy były piękne, ale i trudne. Jednak każda napisała 4 strony, a niektóre więcej. Ciekawe jesteśmy, jak wypadną oceny.

30/V. Któraś dowiedziała się, że Terenia nie lubi P. W. P. Odrazu postarała się oznajmić to całej klasie. To też krzyczy na całe gardło: „Terenia nie lubi P. W.!!” Ta biegnie do krzyczącej, zatyka jej ręką usta i prosi: „Nie krzycz tak głośno, bo ja muszę dostać za rok posadę”.

6/VI. Ksiądz Kanonik mówi nam, że jeśli jest jakiś akt ważny, to ludzie robią spowiedź z całego życia. Również, jeśli ktoś wyjeżdża np. do Ameryki. Sabinka na to bardzo poważnie: „No, tak, bo musi się pozbyć polskich grzechów.”

KURS III. 17/IV. Wicka jest wzorem porządku. Nigdy nie rzuci pierka na podłogę, tylko kładzie go do kieszeni. Kieszenie jednak ma dziurawe, tak że wszystkie śmiecie i papiery wylatują swobodnie na ziemię.

18/IV „Krysiu, nie pchaj tak dużo kaszy do buzi — mówi jej troskliwa koleżanka — bo się udławisz.” — „Nie wtrącaj się, tyle kładę ile mi się zmieści” Biedna Krysiu myślała, iż koleżanka zarzuca jej, że za dużo je i stąd takie nieporozumienie.

21/V Wszystkie harcerki mają miny zasepione i zamiast iść spać, rozmyślają, że z obozu będą nici. Nagle wpada Sienka i krzyczy: „Wiecie co? wiatr napędził gwiazdy i mówię wam, że jutro będzie śliczna pogoda. No i cóż, czy Sienka nie jest świetnym astronomem?”

25/V Lekcja etyki. „W Indjach jest „drzewo sprawiedliwości—mówi ks. kanonik, — na którym zawieszają wszystkie zagubione rzeczy, aby właściciel mógł sobie je zabrać” Na to Jaśka: „A jak dziecko zabłąkałe ktoś znajdzie, to też je na tem drzewie powiesi?”

14/VI. Do maturzystek. Zbliża się koniec roku. Z tęsknotą wielką oczekujemy chwili wyjazdu, by raz rzucić książkę w kąt i nie myśleć (choć tylko przez dwa miesiące) o rzutach, falach, gramatyce... Wy, piętaki, patrząc na naszą radość, uśmiechając się, mówicie: „I my odetchniemy po maturze”.

Matura — to zły anioł, który nie daje spokoju biednym uczennicom. Pod wpływem zbliżającej się matury ucichły skrzypeczki Ani, umilkły słynne deklamacje Maryty, „Siostry Sjamskie” nie robią żadnych „wyczynów” w sypialni. Wszystko się kończy i wasz pobyt w szkole liczy się na godziny... Żegnajcie, kochane maturzystki! Idźcie w życie radosne i szczęśliwe, tak jak byłyście w szkole. Pociągajcie swoim uśmiechem tych, którym ciężko i smutno. Nie zapominajcie o szkole i o nas. Szkoła — to źródło najmielszych chwil, spędzonych w młodości, a my to wasze najmłodsze koleżanki, które wrodziły się w was, jeżeli chodzi o temperament (bunty, ach te bunty).

KLASA IV. 19/IV. Mamy dziś lekcję francuskiego o samym nabiale, i układamy na nowe słówka zdania. A więc mamy teraz ułożyć zdanie na „un oeuf à la coque”, to znaczy: jajko na miękko. Wstaje Janka i z bardzo poważną miną pyta: „Proszę pani, czy samo „à la coque” to znaczy na miękko?” — „Tak” odpowiada Pani. Bo ja czytałam w którejś książce o Małgorzacie Ala coque — ciągnie dalej Janka — więc to znaczy Małgorzata na miękko”. — Wszystkie dziewczynki śmieją się, lecz pani chce Jance rozwikłać tę wątpliwość i tak dalej tłumaczy: „Un oeuf à la coque” znaczy też jajko w skorupce”. — Więc proszę pani — przerywa Janka to się tłumaczy Małgorzata w skorupce?” Cała klasa aż się trzęsie od śmiechu, ale też i Pani dopomaga w tej czynności.

17/V. Dziewczynkom naszym humoru nigdy nie brakuje. Wczoraj naprzykład zrobiły świetny kawał. W luki łóżko włożyły kukłę, zrobioną ze wszystkich szlafroków, samą luskę wsadziły za parawan i rozgłosili, że spadła ze schodów i bardzo się potłukła. Wszyscy okropnie się przestraszyli, seminarzystki dostały bicia serca, a pierwszaki spazmów. Tylko w tajemniczone dusiły się ze śmiechu. Dopiero, gdy przyszła pora na pacierz, wszystko się wydało.

18/V. Lekcja religji. Ksiądz kanonik pyta na religji: „Czy wiecie, kto musi brać udział w pogrzebie chrześcijańskim?” — Tola wstaje i odpowiada: „ksiądz” — „I kto więcej?” pyta ksiądz kanonik — „Organista” mówi Tola. Wtem słyszy szept za sobą: „Dziad kościelny, babki i dziadki, odmawiające pacierze za dusze zmarłych”. „E, nie o to chodzi” — mówi ksiądz kanonik. „Więc umarli” — mówi Tola — „Nie” — odpowiada ksiądz kanonik „Kapłan, ksiądz” — mówi Tola. „Krzyż i dzwony” — podpowiada ksiądz kanonik. Nareszcie zebraliśmy wiadomości, że w pogrzebie chrześcijańskim musi brać udział ksiądz, krzyż i dzwony.

7/VI. Urządziłyśmy w naszej sypialni wystawę Sztuk Pięknych. Powodzenie było wyśmienite. Tłumy uczennic podziwiałały zabytki starożytne: suknię Bony, pościel królowej Jadwigi, buciki króla Augusta i faraona, szklanek króla Jagielly i wiele innych skarbów, pozbieranych z różnych krajów tj. ze wszystkich sypialni.

KLASA I. Nieporozumienie.

12/IV. W sobotę Zosia zajęła jedną kabinę u seminarzystek, Niusia drugą obok niej. Gdy obydwie sobie przyniosły wody i już były zamknięte, Niusia się odzywa: „Gdy pojedę do domu, to się będę często kąpała.” Lecz Zocha jej przerywa: „Lepiejbyś nie zalewała, Niusiu.” Oburzona Niusia tłumaczy się, że zawsze się kąpie, gdy tylko jest w domu. Ale Zocha drugi raz powtarza: „Mówię ci, nie zalewaj.” Wtem Niusia zdenerwowana mówi: „Chyba ty, Zocha, kiedy zalewasz, bo każdy sądzi według siebie.” „O, Niuska, rzeczywiście, to wcale nie ja, to ta, co się myje z drugiej strony twojej kabinki”. Dopiero wtedy zrozumiały się obydwie, gdyż Zosi chodziło o to, aby Niusia nie zalewała wodą, a Niusia zrozumiała, że Zocha posądza ją o „zmyślanie.”

15/IV. Okropność dzisiaj pierwsza klasówka z łaciny. Wszystkie dziewczynki boją się, bo IV-ta kl. malowała klasówkę w czarnych zaiste kolorach. Zeszyty już są rozdane, pani wchodzi, dziewczynki drżą, mucha groźnie brzęczy, jakby przepowiadała 2. W 5 minut później zdania po polsku już są napisane w zeszycie, ale gorzej ze zdaniami łacińskimi. Wszystkie dziewczynki gryzą pióra w zębach: jak tu napisać „ocala”, jed-

na dyktuje koleżankom na ucho z niezachwianą powagą „servabimus”, z drugiej strony słycać „servit”, lecz z pierwszej ławki słycać najgłośniejszy szept: „E, wy niemądre, przecież ja dobrze wiem, że to jest „servis.” Triumfujące uśmiechy tych, które wiedzą, żalosne, pełne trwogi — niepewnych i przyjacielskie rady krzyżują się w klasie. Ale, niestety, panna Loda ma dobry słuch. Dziewczynki o tem nie pomyślały.

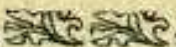
29/V. Feralny wieczór Niuni. Po zgaśnięciu światła przyszła do naszej sypialni p. Stella i weszła na okno, aby je zamknąć. Wtem wpada Niunia i prosto od drzwi krzyczy: „A poco ty, niemądra Niuska, weszłaś na okno?” „Ależ, Niuniu, to p. Stella” — mówi Lala. „Ach, bardzo pppanią przepraszam, ale ja... ja... mmy... mmyślałam, że to Nusia weszła na okno; i pocóż ona tam wchodzi? ta niemądra Niuska” — dodała, dolewając jeszcze oliwy do ognia, Niunia. P. Stella i my wszystkie uśmiełyśmy się z Niuńki, a ona schowała się ze wstydu pod kołdrę.



PRENUMERATA ROCZNA 3 zł. z PRZESYŁKĄ 3, 50.

Redaktorka odpowiedzialna: IRENA WITKOWSKA.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. GOŹDZIKÓW



Druk Szkoły Rzemiosł w Marjówce.

